Cena 5 zł.

Szpilki

Nr. 18 Rok VI | „PRAWDZIWA CNOTA KRYTYK SIĘ NIE BOI" (KRASICKI) | 4. VII. 1945

rys. Jerzy Zaruba

Kochajmy się!

STANISŁAW JERZY LEC

NA ZGODĘ NARODOWĄ

Opar z Tamizy ciemnych wód zrzedł.
Jest jaśniej. Osobliwa chwila.
Choć narodowa ta idylla
nam zwęża satyryczny budżet.

Ojczyźnie wszakże skąpić nie lza.
Tu dla niej nawet dowcip stępię,
nie spłoszę Rządu dziś na wstępie,
jutro krytyka będzie śmielsza.

Lecz cóż zostanie z tych z „Rubensa"
prócz hotelowych tytulatur?
Przecież najgłupszy kalkulator
za nich mi nie da i pół pensa.

Jutro zapełnią antyszambry,
zmieniwszy herb w liberji guzach.
W domach hazardu i zamtuzach
wśród ciężkich woni piżm i ambry

podawać będą ciemnym typom
na mapie Polski – „Mumm" i Xeres.
Kto weźmie wirtuozów Berez
Hiszpanja, Argentyna, Nippon?

Będą czekali na Attyllę,
by nas zmiótł z Polski – dla ich gartski.
I zwiędną jak wypędki carskie
Kołczaki, Wrangle i Cyryle.

A tu się w Polsce dzieją Dzieje.
W księdze historii kartę przełóż.
Nie bój się, trzymam kaduceusz,
gdy znudzi – zmącę Treuga Dei.

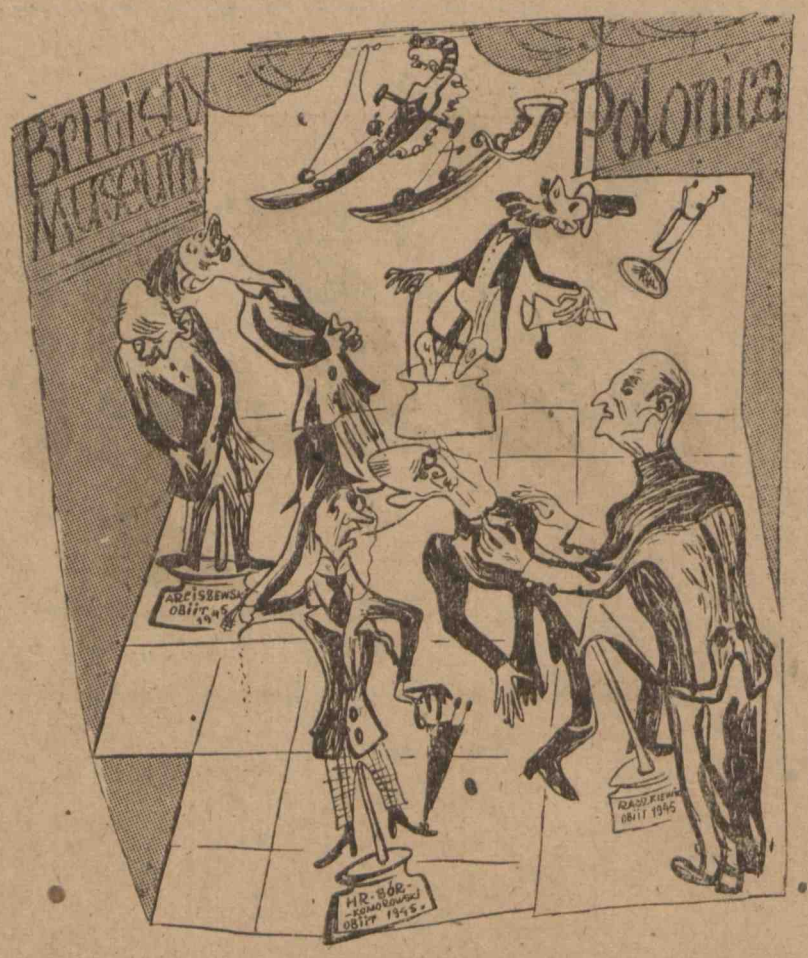

rys. Mieczysław Piotrowski

Nowe eksponaty

* * * *

DZIAŁO się to w Paryżu w pierwszym okresie niemieckiej okupacji. Na Champs Elysées wyległ tłum studentów. Na czele wesołego, jakby karnawałowego pochodu niesiono dwie długie tyczki. Wśród braw i śmiechu publiczności studenci przeszli przez miasto, krzycząc tylko „vive!"— „niech żyje!"

Wiele trzeba było czasu, by Niemcy zrozumieli, że to nie zapustne żarty, ale groźna, poważna, na serio demonstracja polityczna. Było to bowiem wówczas, gdy Petain i Laval sprzedawali Francję Hitlerowi, a honor kraju ratował gen. de Gaulle, tworząc Komitet Wyzwolenia Narodowego i nową armię. Tyczka po francusku znaczy „gaule". A ponieważ tyczek niesiono dwie, okrzyk „niech żyje!" odnosił się do nich właśnie, do tych „deux gaules", stanowiących kalambur nazwiska patriotycznego generała.

Żartem i kalamburem uczcili Francuzi bohaterską decyzję walki o wolność. Tłum paryski pojął w lot wymowę dwóch tyczek, nabierając otuchy, że nie zginął duch wolności i to w czym się przejawia — humor i dowcip.

×

Ta paryska demonstracja przypomina mi się nie bez powodu. W innej sytuacji, w odzyskanym kraju i my dziś tutaj uczcić mamy nierównie wielką radość, nierównie wielki triumf ducha narodu. Jest nim pozytywny wynik rozmów moskiewskich, uwieńczony utworzeniem Rządu Jedności Narodowej.

Czy fakt ten, tak doniosły dla całego społeczeństwa, miały „Szpilki", li tylko dlatego, że są pismem satyrycznym, zbyć podejrzanym milczeniem? Nigdy! Nigdy! Jeśli śmiechem można walczyć i zabijać, śmiechem można także czcić i kochać. I oto macie rysunek Zaruby, na którym prezydent Bierut wita Jana Stańczyka, a premier Osóbka - Morawski ściska dłonie Wincentego Witosa.

×

Jedność Narodowa, rozszerzona i ugruntowana obecnie, nie oznacza, by wszyscy pogodzili się z demokracją. Jak po każdym wielkim przewrocie pozostanie pewna emigracja zagraniczna i pewna emigracja wewnętrzna. „Piąta kalumnia" nie przestanie działać i niejeden bar kawowy pozostanie Mokką i Medyną reakcji.

I my pijemy czarną kawę. Ale bez czarnych myśli, które trapią nierobów, popsujów i wałkoniów. Jak Buchman z „Pana Tadeusza", patrząc na reakcjonistów, szabrowników i łajdaków, wołamy: „Ja zgody nie pochwalam".

Oto przykład. Znajomy mój powrócił z Murnau i opowiada o wizytach Bora i Andersa, którzy namawiali polskich oficerów do porzucenia ojczyzny i wyjazdu na zachód. Tym razem jednak biuro podróży „Anders" zawiodło. Udało mu się zorganizowanie wyjazdu Rydza do „Arkonii", armii polskiej ze Związku Radzieckiego, ale ten projekt podróży tysięcy Polaków w nieznane — nie uda się. Pociąg „Dancing — Karty — London Bridge" odejdzie pusty.

×

I jeszcze raz: gdy mowa o Jedności Narodowej, trzeba mówić o śmiechu. Dość jedności łez i zmarszczek. Inni mają dziś do nich powody. Gdyby wolno mi było radzić, poradziłbym obywatelowi ministrowi Bezpieczeństwa Publicznego, by swe najbliższe exposé zakończył cytatą z „Fantazego":

„A was ostrzegam, że smutni
Ludzie są w moim sercu podejrzani
O brak szczerości..."

Zdanie to w dramacie Słowackiego mówi ob. hr. Respekt. Proszę nas więc nie oskarżać, że do rządu i do ob. Radkiewicza nie odnosimy się z należytym Respektem.

Jan Szeląg.

rys. Eryk Lipiński

Raczkiewicz: — Muszę jeszcze zrobić coś takiego, żeby zwrócić na siebie uwagę świata

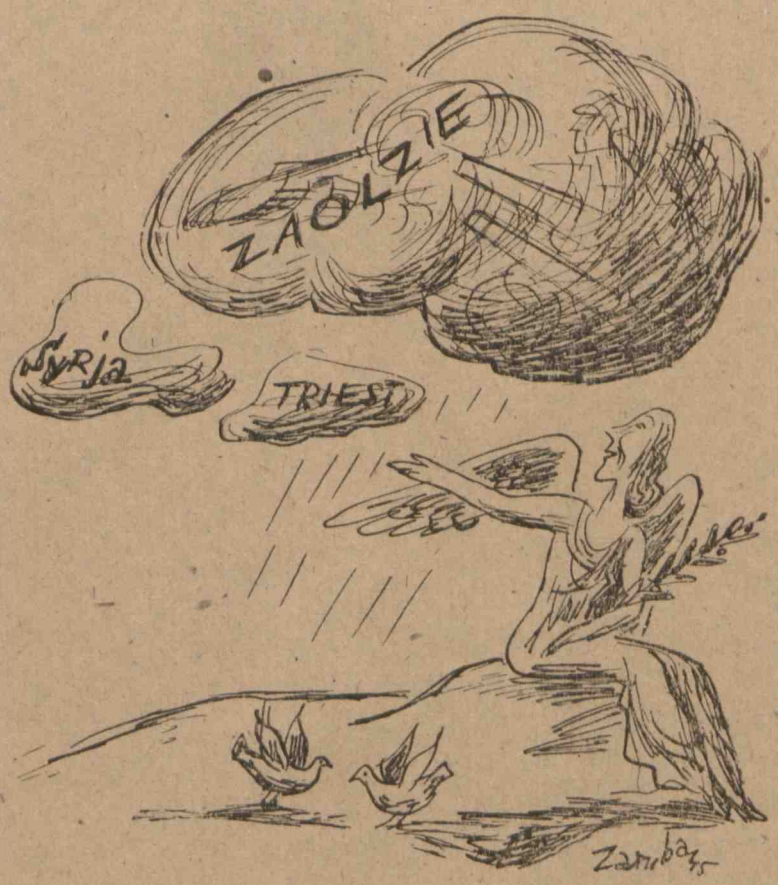

rys. Jerzy Zaruba

Z dużej chmury mały deszcz

Szczypta soli

Mówią, iż w związku z porozumieniem moskiewskim prof. Kutrzeba przystąpił do pisania trzeciego tomu swojej „Historii ustroju Polski".

Prasa doniosła, że Krupp wkrótce stanie przed sądem. Wyrażamy tylko nadzieję, że sąd nie będzie miał niepotrzebnych SS-Krupp-ułów i że nareszcie się to na nim SS-Kruppi.

Stary dowcip „Cyrulika Warszawskiego" w nowej sytuacji: „rząd" londyński przeciwny jest utworzeniu Rządu Jedności Narodowej — krzyknęli nie pozwalam, uciekli na P r a g i e r.

I drugi taki sam dowcip: Mieczysław Thugutt wszedł w skład nowego gabinetu — Thu-gutt, Thu-gutt.

Ze Zjazdu Oświatowego

rys. Jotes

Stanisław Skrzeszewski

ANTONI MARIANOWICZ

KRONIKA BOREJSZY

Że okoliczność była od innych ważniejsza,
Pojechał na obrady sam major Borejsza.

I opisał z maestrią i znawstwem głębokim,
Jak kto się tam zachował i jakim szedł krokiem.

Niebawem już świat wiedział (no i hotel Rubens)
Że rząd nasz jest nowego głową i kadłubem,

Zaś Borejsza (że życie doczesne jest krótkie)
Będzie nowego rządu po prostu... Kadłubkiem! –

W. L. BRUDZIŃSKI

NOWY ARBEITSAMT

„Rząd" londyński werbuje spośród Polaków przebywających w Niemczech mężczyzn do kopalń węgla w Belgii oraz kobiety na pomocnice domowe w Szkocji" — z prasy.

Wśród Polaków z zagranicy
Nowi krążą werbownicy.

Krążą, jątrzą, szuja z szują
I tak wśród nich agitują:

„W kraju trzeba rąk do pracy –
Więc nie jedźcie tam, rodacy!

Polskę odbudować trzeba –
Więc szukajcie w Szkocji chleba.

Śląsk już ruszył pełną parą –
Więc do Belgii jedź, psiawiaro!

Wszystko rozkwit w kraju wróży –
Idźcie lepiej obcym służyć!"

Mówiąc więc innymi słowy,
Arbeitsamt to taki nowy.

Lecz są wieści znakomite:
Zniknął tamten, zniknie i ten!

REAKCJONISTA

– Jakże mnie martwi niezgoda panująca w Polsce

rys. Eryk Lipiński

– Jakże się cieszę z utworzenia Rządu Jedności Narodowej

Ostatnie wiadomości

W Moskwie

na Zaolziu

rys. Witold Leonhard

w Polsce

LEON PASTERNAK

PIOSENKI ŻOŁNIERSKIE

Wydanie drugie

Łódź 1945

Skład główny: „Czytelnik" Warszawa, Łódź, Kraków, Poznań, Katowice.

MARIAN PIECHAL

ODPOWIEDŹ

Przed wojną – mówił – był wielkim panem,
tuczył się mięsem, poił szampanem.
Miałem – wywodził – liczne pokoje,
przepyszne meble, bogate stroje,
miałem sygnety złote na ręce,
miałem bieżącą wodę w łazience,
miałem komodę, luxus-kozetkę,
miałem roskoszną water-closetkę,
miałem z różową wstążką gitarę,
miałem laubzegę, album do marek,
miałem do butów gięte prawidła,
miałem pudełka z niklu do mydła,
miałem kalosze, parasol, narty,
miałem angielskie do bridge'a karty,
miałem co rano kawę z kożuszkiem,
miałem wygodny nocnik pod łóżkiem,
miałem otwarte konto w P.K.O.,
miałem, gdy chciałem, szklankę kakao,
miałem szafkowy zegar z kukułką,
miałem sportową odznakę z pułku,
miałem Mniszkównę oprawną w skórę,
miałem na płytach Jana Kiepurę,
miałem całego Pittigrilli'ego,
miałem „Co czytać?" Pirożyńskiego,
miałem Hemara i Boy'a „Słówka",
miałem dwie arie „Wesoła wdówka",
miałem plan miasta, egipski sennik,
miałem Szyllera-Szkolnika cennik,
miałem fotosów pełne szuflady,
miałem renomę mistrza szarady,
miałem laurkę klubu nudystów,
miałem nagrodę od pingpongistów,
miałem pochwałę Bractwa Różańca,
miałem aplauzy na salach tańca,
miałem do kawy primus-maszynkę,
miałem do usług na noc dziewczynkę,
miałem dam różnych w portfelu fotki,
miałem za lustrem maść na nagniotki,
miałem co piątek z frytką piklinga,
miałem w grze pecha, gdym miał w tref syngla,
miałem w gablotce antyk dość rzadki,
miałem bękarta z córką wariatki,
miałem osobną ławkę w kościele,
miałem kurzajki na całym ciele,
miałem paradną w szafie ciupagę,
miałem skuteczne krople na zgagę,
miałem koc latem, zimą pierzynę,
miałem podpinkę na przepuklinę,
miałem fryzurę czesaną w ząbek,
miałem rolmopsem struty żołądek,
miałem grzyb w barszczu, paprykę w sosie,
miałem od dziecka polipy w nosie,
miałem od święta krawatkę modną,
miałem chroniczną puchlinę wodną,
miałem ogórki w słoju solone,
miałem co rano wzdętą śledzionę,
miałem frak sztywny w święta na sobie,
miałem początki raka w wątrobie,
miałem „Memfisy" w papierośnicy,
miałem wrzód twardy na dwunastnicy,
miałem na raty radio z kryształkiem,
miałem resekcję trzustki z migdałkiem,
miałem polisę z asekuracji,
miałem świadectwo sterylizacji,
miałem herb przodków pod czułą pieczą,
miałem koniuszym dziadka po mieczu,
miałem tych co w senacie siedzieli,
miałem syfilis w krwi po kądzieli,
miałem pigułki z kantarydyną,
z extrapotentionitropikryną,
ach, czego w życiu nie miałem wreszcie:
parcelę na wsi, ogródek w mieście,
psa na podwórzu, kota pod piecem,
spluwaczkę w kącie, w lichtarzu świecę,
składany w dwoje z nożem grajcarek,
w zamszowej pochwie złoty zegarek,
tabletki „Vichy", grzebień na gnidy,
lęk na dziedziczne hemoroidy,
rybkę w akwarium, kanarka w klatce,
Amora z Psychą w czułej obłapce,
miałem kanarka, wabił się „Grześ",
A ty co miałeś?

– Miałem cię gdzieś!

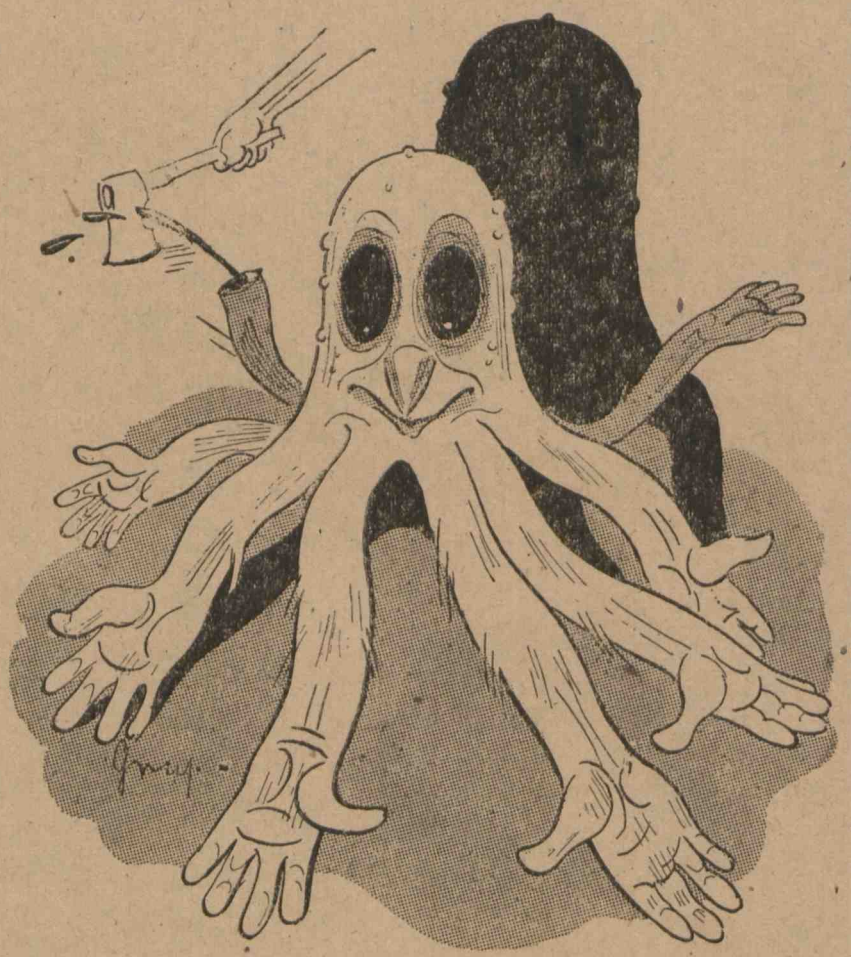

rys. Kazimierz Grus

ŁAPÓWKA

ŚLUBNE KŁOPOTY

Żyjemy w czasach upraszczania życia codziennego. Znika wiele uprzedzeń, szkodliwych przesądów towarzyskich i nietowarzyskich.

Coraz mniejszą, wręcz żadną rolę odgrywają sakramentalne niegdyś słowa — wypada, nie wypada.

Mało kto przejmuje się dziś np. modą. Trudno zresztą wymagać od kogoś, kto uratował powiedzmy z Warszawy parę czarnych lakierków, granatowy sweter w żółtą kratę, bordo garnitur i zielony płaszcz garbadinowy, aby ubierał się np. „do koloru".

Niestety istnieje jeszcze dziedzina, w której „wypada" i „nie wypada" odgrywa wielką rolę. Np. przy ślubie.

Przyszła teściowa, obejrzawszy mogą garderobę, stwierdziła, że właściwie nie mam w czym iść do ślubu.

— Jakto — oburzyłem się — a mój nowy czerwono - zielony garnitur?!

Teściowa zaniemówiła na chwilę, a potem w żywy, właściwy teściowym, sposób udowodniła mi nie bez racji, że chcę ją wpędzić do grobu, że jestem kompletnym ignorantem, że „kto widział, żeby szanujący się młody człowiek szedł do ślubu w jasnym, ba! jaskrawym garniturze", że „ludzie się będą patrzeć" i że to wreszcie nie wypada. Ciemny garnitur jest niezbędny.

Okazało się jednak, że takich rzeczy niezbędnych jest dużo więcej. Nie wypada pieszo, nie wypada w brązowych butach (innych nigdy nie nosiłem), nie wypada w barwnym krawacie (nie znoszę i nie mam ciemnych!), nie wypada bez kwiatów, nie wypada w sportowej koszuli z miękkim kołnierzykiem... itd., itd.

Pożyczyłem czarny garnitur. Pożyczyłem od kolegi czarne półbuciki. Pożyczyłem od dziadka narzeczonej czarny, żałobny krawat. Od teścia białą koszulę. Od kuzyna spinki. Od babci czarne pończochy, które musiałem zrolować, aby wyglądały, jak skarpetki. Od jednego dobrego znajomego sztywny biały kołnierzyk.

Znajomy dorożkarz odwiózł nas do kościoła za litr wódki.

Garnitur miał z tyłu mały garb. Kwiaty ocierały się stale o marynarkę i zostawiały jakiś żółtawo - biały pyłek na ciemnym materiale. Wyglądałem jak czarny, zlekka omączony dromader. Półbuciki cisnęły mnie fatalnie. Pończochy rozwijały się i opadały raz po raz na buty. Sztywny kołnierzyk — chomątoobtarł mi zupełnie szyję.

Przed ołtarzem przestępowałem z nogi na nogę. Jedną ręką otrzepywałem się z kwietnego pyłu a drugą starałem się rozszerzyć fatalny kołnierzyk. Dwa razy zwróciła mi uwagę narzeczona, kolega świadek trącał mnie ustawicznie w garbate plecy, a kościelny mierzył cały czas pogardliwym sporzeniem.

Po ślubie dwa tygodnie jeździłem po mieście, oddając pożyczone rzeczy. Garnitur, spinki, półbuciki, czarne pończochy i krawat.

Alę sztywny biały kołnierzyk mam jeszcze do dziś.

Dobrego znajomego nigdzie nie mogłem znaleźć. Wyjechał.

Na szaber, czy czort go wie na co.

— Nigdy już więcej z tobą nie pójdę do ślubu — rzekła z płaczem moja młoda żona po powrocie z kościoła.

I zdaje się, że miała rację.

W. L. Brudziński

JERZY ZAGÓRSKI

ROZMAWIAM Z PRZYBOSIEM

OD KIEDY zostałem poetą klasycznym, to znaczy takim, który usiłuje dorównać innym — spędza mi sen z oczu działalność Jalu Kurka. Jalu Kurek jako poeta awangardowy i nieprzejednany został bez żadnych precedensów dyrektorem agencji w Wojewódzkim Urzędzie Informacji i Propagandy, Basztowa 15; ja jako poeta klasyczny i kompromisowy jestem za jego wzorem kierownikiem oddziału w Wojewódzkim Urzędzie Kultury i Sztuki, Basztowa 22.

Niedawno Jalu Kurek odwiedził mię na Basztowej 22, stanął przed moim biurkiem i w sposób dotychczas w poezji niestosowany wygłosił dłuższy wiersz pod tytułem „Hymn do pracy" z rewelacyjnym zakończeniem: „Ty pracuj, ja będę mówił za ciebie..."

Znów całą noc nie spałem, potem postanowiłem mu dorównać i poszedłem na Basztową 15, stanąłem przed jego biurkiem i ograną strofą wypowiedziałem passeistyczny wiersz z oklepanym zakończeniem:

„Nie, bracie, to ty pracuj,
a ja będę mówił za ciebie!"

Nie mogę mu dorównać w żaden sposób. Wciąż nie śpię.

Wreszcie wydaje mi się, że znalazłem sposób stary jak ludowe przysłowie „Wedle stawu grobla" i postanowiłem zaspokoić się przez rozmowę z kimś inym. Niewiele wody upłynęło, gdy naciskałem z lękiem i drżeniem szybki jak spółczesna twórczość dzwonek do redakcji „Odrodzenia", gdzie spodziewałem się zastać Juliana Przybosia.

Drzwi otworzył sam archipoeta.

— przyjął mię w sposób godny, ale zarazem wyrozumiały:

„Oszczędnie odmierzam
krew
mowy". —

Zrozumiałem, że trzeba się streszczać.

— Mistrzu, wybuchnąłem, niech mistrz mnie ratuje, prawda mistrz jest obywatelem, ja także i także chcę spać. Obywatelu mistrzu, Kurek spać mi nie daje...

— Co? Kurek? — nagły przebłysk ożywienia oświecił zazwyczaj kamienne oblicze obywatela.

„Kropla do kropli — morze.
Bałtyk
zgłębia się".

Zakonkludował Przyboś o Kurku, poczem zapadł w swój stan normalny.

— Obywatelu Mistrzu, — wołałem dalej już bardzo ośmielony. — Coście zrobili z „Odrodzeniem". Wy we trójkę z Kurylukiem i Bieńkowskim zamykacie jego łamy dla nowych talentów. Drukujecie tylko stare jak czytelnictwo oklepane nazwiska: Breza, Brandys, Fijas Dygatt, Dygas, Migatt, Kott, Batt, Kucwa, Miłosz, Ważyk, Czyżyk, Ptakk, drugi raz Kott i Jan Artur Wiktor Maria Świniarski. Co będzie?

„Strudzony głoszę swój obraz
Uszczerbiony o jedno zdarzenie
Przełamaliśmy wstecz!
Krąg opuszczamy zaciśnięty!"

Rzekł mistrz i podał mi z wyrozumiałym gestem ostatni numer „Odrodzenia". „Przedgwiznie
ziemi
nienapróżno".

Dodał chytrze. Na twarzy jego rysował się triumf. Nie byłbym literatem, nie byłbym tłumaczem, gdybym nie umiał tych słów Przybosia przetłumaczyć na język polski. „Poeta w sposób rewelacyjny a lapidarny wyraził myśl, że ganiąc „Odrodzenie" nie zauważyłem widocznie 26-go numeru, gdzie nastąpił istotny przełom w doborze autorów, że otwarto łamy pisma dla nowych, a w każdym razie nieznanych czytelnikom talentów.

Zajrzałem do numeru. Istotnie, spostrzegłem same nowe nazwiska: Gabriel Karski, Kazimierz Czachowski, Jan Emil Zegadłowicz, Paweł Hulka Laskowski, Roman Kołoniecki, Adam Grzymała Siedlecki, Maria Konopnicka, Lech Piwowar, Piast Kołodziej, Anna Jagiellonka i Jan Artur Wiktor Maria Świniarski.

Czułem się pokonany. Teraz ja milczałem. A widząc, że ja milczę, Przyboś wyszedł na spotkanie memu zakłopotaniu.

„W filiżance nucę
a obłok dla mnie niczym" —

Tak mówił. Czułem, że ulegam tej potężnej indywidualności. I nie wiem kto to już mówił, czy Przyboś, czy ja, ale z tego obcowania powstało coś w rodzaju nowoczesnej sielanki, która w należytej formie daje obraz odpowiednich przemian narodowych:

„Nadciąga abecadło.
W sadach przysiadłem
widziadała drągów.
Oto
kawalkadą witają jutrzenkę
która
mimowoli wypada.
Płotom
zawadza ciągle.
Do potrójnego potu
wołam zaprzągnięty we
wzruszenie:
Kary — nastąp się!"

Ocknąłem się. Przyboś szarpał mię za rękaw. „Rozumie pan — mówił teraz zupełnie serio — rozumie pan:

„Uderzmy w!"

Złamany wyszedłem na ulicę.

Pierwsze kroki, jako służbista, skierowałem do Województwa, gdzie obywatel Zofia Żołątkowska stoi na czele Wydziału Społeczno-Militycznego. Tu nawiasem chcę dodać, że miejsce policji zajęła obecnie milicja, a co zatem idzie polityka została przemianowana na militykę, a wszystkie sprawy polityczne na militycznе.

— Proszę Obywatelki, co robić?

Rozstrzygnęła jak można najbardziej po ludzku:

— Zbierzcie mi ankietę o Przybosiu: tak u chłopów, na ulicy, u władz, potem mi powtórzycie, a my to jakoś załatwimy.

Poszedłem do chłopów. Przedstawiciel chłopów krakowskich czyli tak zwanych Krakowiaków, obywatel Kusto zamyślał się głęboko w jednym z wykwintniejszych lokali przy linii AB nad swoją pozycją i sytuacją.

— Wy literaci jesteście solą ziemi. Niestety w handlu nie ma w dostatecznej ilości soli białej, to znaczy w dobrym gatunku, ale jak nie ma to nie ma. Za to soli czarnej jest więcej niż można sprzedać. Weźcie to na furmanki i wywieźcie jak można najdalej. Żebym już nic więcej o tym nie potrzebował myśleć — chrząknął.

— Jaśnie Wielmożny Obywatelu, zrobi się, weźmie się na furmanki i wywiezie jak można najdalej.

U majora Jerzego Putramenta rozmowa była bardzo krótka. Mój dawny młodszy, najbardziej ulubiony kolega i można rzec prawie chrzestne dziecko w poezji, przyjął mnie entuzjastycznie. Zawołał:

— Baczność!

Wyprężyłem się.

— Wiem z czym przybyliście. Chodzi o tę poezję. Ja wam poradzę. Postawcie Przybosia na Departament Literatury a stłamsi wszystko.

— Tak jest panie majorze! — odkrzyknąłem, ale mam jeszcze inny projekt. Postawmy Departament Literatury na Przybosia a skutek będzie ten sam.

— Macie rację. Spocznij. Dowidzenia. Odmaszerować.

Znów wróciłem do Województwa. Tam wziąłem delegację służbową i za 600 złotych pofrunąłem do władz do Warszawy. Zameldowałem się najprzód u Ministra Handlu i Improwizacji Jerzego Sztachelskiego.

— Ministrze co robić?

—To, co robimy w obecnych warunkach jest Wielką Improwizacją w stylu „Dziadów" i dlatego nigdy nie zapomnimy o poezji. Ale podejrzewam, że twórczość niektórych poetów nie jest wynikiem improwizacji lecz symulacji i złośliwej premedytacji.

— Zrozumiane — rzekłem, ściskając dłonie eskorty.

W drodze powrotnej samolot zatrzymał się na kilka minut w Łodzi. Wyszedłem rozprostować nogi. Na ulicy spotkałem jednego z jedenastu redaktorów „Kuźnicy";

— Jaki jest wasz stosunek do poezji odkrywczej i co uważacie za takową? — spytałem, nie znając obyczajów łódzkich.

— Przyznam się — rzekł redaktor — że jedyną prawdziwą poezję odkrywczą, jaką obecnie się czyta są przemówienia Ministra Przemysłu obywatela Minca. Wszystko poza tym to bezwartościowa makulatura.

W ciągu czterech minut zrozumiałem wszystko. Oto stoję, wyciągam rękę do obywatela Przybosia i wołam asklepaidejską strofą z daktylicznym anapestem, strofą podpatrzoną u Horacego za szkolnych lat:

Nie dajmy się!
Nie kłóćmy się!
Trzymajmy się!
Pogódźmy się!

JÓZEF NACHT — Ilustr. Kazimierz Grus.

ZWIERZYNIEC

WĄŻ

Wąż pełzł na piersiach jak to gady,
Wreszcie znudzony puszcza puszczę kantem.
Poszedł do miasta poszukać posady
I już na drugi dzień został hydrantem.

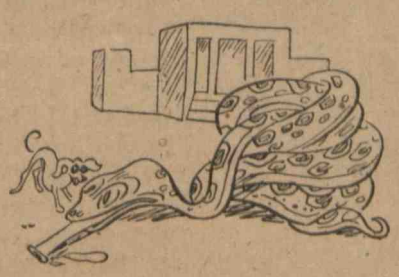

NIETOPERZE

Każdy wie, że nietoperze
Lubią wisieć główką w dół.
Gdybym jak tak wisiał, wiem, że,
Bardzo kiepsko bym się czuł.

KOGUTEK

Kogutek z kurką długo żył,
Chociaż się z nią nie ożenił,
Wreszcie się rozpadł w proch i pył
I służył przeciw migrenie.

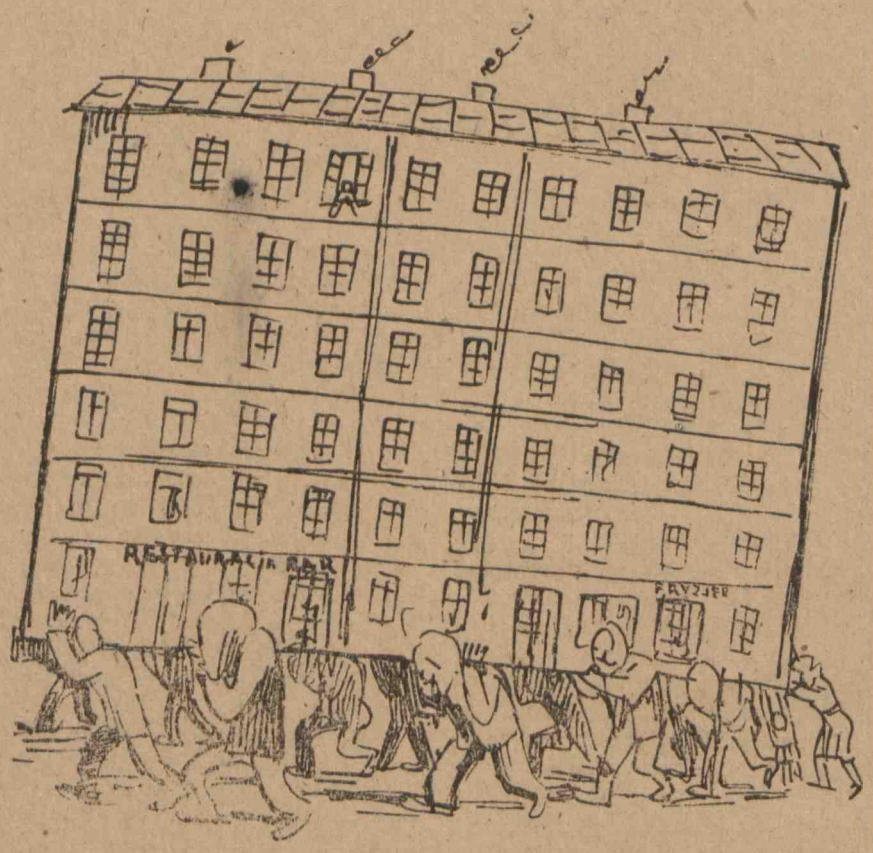

rys. S. Cieloch

Szaber

Stanisław Sojecki

PIEŚŃ LUDOWA O KULTURZE POLSKIEJ

A kiedy znowu Ojczyzna powstała,
Dusza się z wielkiej radości spłakała,
Że odtąd będziem mogli naturalnie
Żyć kulturalnie.

Gdy tedy pismo wydali w stolicy,
Naród się zleciał z wszelkiej okolicy,
Ale już pierwszy czytelnik się skrzywił:
„Sygnał" fałszywy!

Lud przeto wali do nowej świątyni,
Co na prastarej powstała „Gontynie",
Lecz i tu: pośród wieszczów — grafomany —
Tak na „Przemiany".

Zatem otwierasz ostatnie „Wierzeje" —
Do „Zdrojów" Sztuki serce ci się śmieje —
Jednak, choć wlazłeś do samej „Kuźnicy" —
Też po próżnicy!

Polski Narodzie! — Bracie najmilejszy —
Powiedz, kto bliżej Jerzego Borejszy,
Że czeka całe powojenne plemię —
Na „Odrodzenie"!

Krążą pogłoski, iż Hitler ukrywa się

rys. Karol Bałaniecki

Zdradzą cię oczy mordercy!

CASANOVA — TABARIN

czyli w pogoni za pełnią życia

JESTEŚMY pracującą inteligencją. Cały nasz wysiłek myślowy skoncentrowaliśmy ostatnio na rozwiązaniu problemu ubrania i obuwia. W tym celu piszemy felietony do „Szpilek", w niedzielę sprzedajemy na Wodnym Rynku przedwojenne angielskie garnitury naszych bogatych znajomych. Ta wytrwała praca umożliwiła nam wreszcie nabycie sześciu metrów tkaniny, której głównym składnikiem jest celluloza i inne rośliny. Jak nam wiadomo z technologii, celluloza jest głównym składnikiem papieru. Zanieśliśmy więc materiał prosto do introligatora, prosząc, by skleił nam dwa ubrania. Sami zlepiliśmy sobie z papieru dwie koszule i zasadniczo jesteśmy ubrani. Ubogo, ale chędogo. Syci i odziani postanowiliśmy się puścić w pogoń za pełnią życia. W tym celu odkładaliśmy codzień po dziesięć złotych każdy do glinianej skarbonki w kształcie świni. Po trzech miesiącach rozbiliśmy świnię i okazało się, że jesteśmy szczęśliwymi posiadaczami dwóch tysięcy złotych.

Chwilę walczyliśmy ze sobą, czy za te pieniądze nabyć szczoteczkę do zębów, której brak odczuwamy od kilku lat, czy też pieniądz utracić na hulankę i swawolę, puściwszy się w wir nocnego życia metropolii. Chęć użycia wzięła górę nad higieną. W bakterie i tak nie wierzymy. Przetarliśmy więc koszule gumką i z drżeniem roznamiętnionych nozdrzy pchnęliśmy turnikiet „Casanovy". Te dziew kilka, ten szum wódki, jak nam wiele przypomina! U coctail-baru mixer Jim mieszał tęczowego flipsa w takt hot-jazzu. Na krótkich łydkach właściciela spółdzielni z ul. Piotrkowskiej uwiły sobie złote gniazdko dwie córy Koryntu. Opodal na parkiecie podrygiwał tłum innych spółdzielców. Nastrój był antyczny. Rok 1939. Między stolikami pomykali w lansadach, kłaniając się na wszystkie strony, z serwetkami pod śnieżnobiałą pachą członkowie Zw. Zaw. Pracowników Gastronomicznych. W tej chwili stało się coś strasznego: wytworny conferansier, ulubieniec publiczności w zblazowanym blezerze z niebieskiej czesuczy do kostek, rozciętym z tyłu do pasa z nakładanymi kieszeniami i szalowym kołnierzem, zapowiedział występ słowika. Tymczasem zamiast oczekiwanego ptaszka wyfrunęła na estradę p. Lucyna Szczepańska. Popłynęły smętne tony. „Słuchaj miły, skąd jest w tobie tyle siły?" Nie mieliśmy siły i wyszliśmy. „Tabarin" — rzuciliśmy przejeżdżającemu dorożkarzowi, wiedzieliśmy bowiem, że prócz „Casanovy" można jeszcze szaleć w „Tabarinie". Nauczeni smutnym doświadczeniem, postanowiliśmy nie zwracać na nic uwagi.

Zajęliśmy lożę i kazaliśmy sobie podać skromną kolację. Zanim podano, zwiedziliśmy lokal. W piwnicy mieścił się nieruszony zębem czasu przytulny bar. Na kanapkach rozróżnialiśmy anatomiczne szczegóły obu płci zmieszane ze sobą w coctailu miłości. Na górze był również bar, obok bar i dalej też bar. Słowem, jedno wielkie barbarzyństwo. Na dobitkę obok siedziały dwie znajome Barbary, zajadając rabarbar. Nastrój był barowy. Parkiet kręcony wyłaniał się z poziomu podłogi jak wyspa szczęśliwości. Nad parkietem w suficie był płócienny rękaw. Dawnymi laty z niego jak z rogu obfitości sypały się na łyse głowy łódzkich fabrykantów confetti i serpentyny. Podobno do Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki, który jest wysokim protektorem tego lokalu, złożono projekt uruchomienia rękawa. A w toalecie... lustra, marmury i w kącie naczynie z białego metalu... antaby, aby gość mógł się za co chwycić w chwili niemocy: jednym słowem było to t. zw. rzygadło. Zanotowaliśmy to w pamięci. Wróciliśmy na salę. Na naszym stoliku wił się już metr węgorza, pobłyskiwał ochoczo kawior, w lodzie zamarzała wódka. Jakież było nasze zdziwienie, gdy na estradę wybiegło dwuch aktorów dramatycznych, pp. Pawłowski i Jankowski. Bynajmniej nie w charakterze gości. Zapłakaliśmy rzewnie, pamiętamy bowiem pierwsze kroki Pawłowskiego u boku Solskiego w prawdziwym teatrze. Wysłuchawszy tekstu przebojowych szlagierów, skorzystaliśmy czym prędzej z pomocy antab w toalecie. Zabawa doszła do zenitu po zawarciu przez nas znajomości z dwiema paniami, które dygnąwszy przedstawiły się. Peli i Meli. Nigdy dotąd nie mieliśmy takiego powodzenia. Panie nie odmawiały nam niczego. Cygański skrzypek grał nam nad uchem, łzy lały się same. To było szczęście.

P. S. Rachunek wyniósł 24.354 zł. — prócz pań.

Siedzimy od kilku dni w kazamatach „Tabarinu", bez ubrań. Prosimy wielbicieli naszego talentu, aby nas wykupili z niewoli barbarzyńców. Obiecujemy nie uganiać się więcej za pełnią życia.

Paweł Hertz
Jan Rojewski.

MY!

Przy moście, pod filarami
Rozbił się galar z jabłkami.
Płyną sobie jabłka równo,
A pomiędzy nimi — g....
— Co tam płynie? — pyta babka.
G.... na to: „To my! jabłka!"

Juliusz Saloni

STEFANIA GRODZIEŃSKA

KOŁTURNY

CHODZĘ po ulicy jak nieprzytomna.

Wszyscy znajomi są obrażeni, że się nie odkłaniam. Wpadam pod auta i pod wózki dziecinne, tratuję dorożki, parę dni temu rozbił się o mnie tramwaj nr. 11, zdążający w kierunku Placu Reymonta.

Bo patrzę w ziemię zamiast przed siebie.

Pozostaję mianowicie w szponach namiętności silniejszej ode mnie. Namiętnością tą jest wspaniała nowoczesna architektura, piętrząca się pod nogami pań, a zwana przez nie kameralnie pantoflami. Chodzę i patrzę na te „pantofle". Nie mogę wzroku oderwać.

Każda niewidziana dotąd boazeria, każde nowe połączenie zamszu z wężem, sznurka z żabą, korka z workiem, gumy z pumą wprawia mnie w podniecenie. Nigdy mi się nie sprzykrzy.

Najładniejsze są pantofle à la lakierowane meble kuchenne. Są to pokaźnej wysokości pnie drzewne. z grubsza ociosane i dyskretnie pomalowane na kilka dystyngowanych kolorów, wśród których przeważa czerwony, zielony i żółty. Wierzchy pantofli są różne, ale zawsze dziurawe na palcu, a często gęsto i pięta wylizie.

Takich pantofli się nie nosi. Na takich pantoflach się huśta i kłapie. Takich pantofli się nie szyje. Takie pantofle się plecie, rąbie, kuje. muruje. Takich pantofli nie robi szewc. Takie pantofle robi tapicer, drwal i daltonista.

Już dziś panie nie dotykają stopami ziemi. Poziom pantofli podnosi się z każdą chwilą. Niedługo nie wystarczy poprostu przystawić sobie krzesło, żeby na nie wejść, powstanie przemysł specjalnych drabinek, będzie się podnosić sufity w mieszkaniach. Problem pantofli zamieni się w problem urbanistyczny, brany już pod uwagę przy odbudowie Warszawy.

Chociaż tam nie jest tak groźnie jak w Łodzi.

Niech żyje Łódź, stolica ludzi twardej pracy!

rys. Kazimierz Grus

Rzekła Kura do Indyka:
– Nasz pan to wzór altruisty; choć wykopie, sam nie łyka – wszystkie nam oddaje glisty.

Benedykt Hertz.

Piotr Paśkiewicz (Tyczyn) — Za miłe „pozdrowienia od szerokiego grona czytelników" dziękujemy. Wierszyki jeszcze nie do druku.

Demokrata — Utwór Wasz zupełnie niedemokratyczny. Wobec tego — w koszu.

M. Margulies (Łódź) — W poprzednim numerze drukowaliśmy pięciu nowych autorów. Czy oznaczą to, że „Szpilki" są zaklętym sezamem?

Józefa Ryś — Myli się Pani. Wśród naszej Wielkiej Trójki nie ma ani jednego o miękkim sercu. Jeśli chodzi o pisanie. Gdy o co innego, to ho, ho... Wszyscy zresztą mężczyźni w „Szpilkach" są nieuprzejmi i kobietom ustępują miejsca bardzo niechętnie. Wiersze Pani więc uważamy za złe. Proza ma swoje zalety. Możemy Pani poradzić tylko słowami cioci Femci: „Pisz, kochana dziewczyno, dużo pisz — ale tylko to, co przeżywasz i co chcesz przeżywać, pięknie i pożytecznie, i żeby ci, co będą cię czytali, też chcieli tak przeżywać, albo się wstydzili samych siebie, że tak żyją, jak żyją i jak chcą żyć".

Gabinet osobliwości

ELMER I HITLER

W „Robotniku" z 18-go czerwca Benedykt Elmer rozpatruje opory, z jakimi w sferach sanacji spotykał się projekt zawarcia polsko-radzieckiego paktu o nieagresji.

„Trzeba było — pisze skromny autor — aż półtorarocznej kampanii publicystycznej, przeprowadzonej przez podpisanego w „Kurierze Warszawskim" i już zupełnie widocznego wzrostu potęgi hitlerowskiej, żeby w rządzącym obozie Piłsudskiego zrezygnować z protekcyjnej roli „mocarstwowej" i zawrzeć pakt nienapadania bez państw bałtyckich".

Należy jeszcze koniecznie dokładniej wyjaśnić, czyj wpływ był większy: Elmera czy Hitlera? Na wszelki wypadek: Heil Elmer!

Z PIÓREM U NOGI

W tej pozycji zapewne piszą publicyści „Nowej Epoki". Henryk Lukrec tak maluje (w nr. 4) obraz chwytania przywódców hitlerowskich:

„Amerykanie w tym historycznym polowaniu z nagonką mają na swym rozkładzie najwięcej dotychczas brunatnych ogonów..."

W tymże numerze Helena Boguszewska pisze o zeznaniach byłych więźniów przed komisją oświęcimską:

„...prawie każdy zeznaje przez parę dni, nawet przez kilka dni".

W ten sposób można pisać przez wiele, albo nawet przez masę dób.

KONCERT NAD KONCERTAMI

Według relacji „Robotnika" z dnia 12 czerwca odbył się w Łodzi niezwykły koncert. Ta „uczta artystyczna"

„pozostawiła niezatarte wspomnienie wśród tak licznych uczestników, że na długo przed rozpoczęciem koncertu brakło miejsc na obszernej sali Robotniczego Domu Kultury".

Powody tego wrażenia, które wywarte zostało na uczestnikach już p r z e d koncertem, znajdujemy w treści notatki. Kazimierz Wiłkomirski przeszedł samego siebie. Sam jeden wykonał koncert Mozarta, który jest napisany na cztery instrumenty. Jeden człowiek jako kwartet. Było na co patrzeć i czego słuchać.

Ale Wiłkomirski robił dalej cuda. Zamiast „Andaluzy" Granadosa wykonał „Santaluzę" Granadura.

Irena Dubiska nie dała się zdystansować. Zamiast nudnej i znanej „Pieśni Roksany" Szymanowskiego, wykonała zupełnie nieznany utwór tegoż kompozytora p. t. „Pieśń Roksandy". Ob. Olga Olgina poszła jeszcze dalej. Zamiast „Pizzicatta" Delibesa odśpiewała „Delibrę" Picicattiego. Miało to wybitny charakter rewanżu ze strony utworu, który tym razem napisał swego kompozytora. Ob. Olgina śpiewała „przy własnym akompaniamencie". Do jej śpiewu i akompaniamentu „akompaniował Kiejstut Bacewicz".

Recenzent „Robotnika" ob. St-cki nie pozostał w tyle za naszymi wirtuozami. Tylu głupstw na przestrzeni czterdziestu wierszy druku jeszcze nigdy nie czytaliśmy. Po prostu symfonia głupstwa.

(j. s.)

AUTOREKLAMA JEST DŹWIGNIĄ HANDLU I PRZEMYSŁU

„Dziennik Polski" w ten oto sposób ogłasza wieczory autorskie *swoich stałych współpracowników:*

„Humor o najwyższym ciężarze gatunkowym..."

„...doskonała „Parada Parodii do kwadratu"

...„Kapitalne parodie sławnych aktorów"

„...Świetna parodia „Męża doskonałego"

„...Humor wysokiego gatunku"

...„Wielki wieczór satyry" i t. d. i t. d.

P. T. Publiczność była wprawdzie bardziej powściągliwa w ocenie wzwyż wzmiankowanych występów, ale to się nie liczy. Publiczność bowiem płaci. Nadworni zaś satyrycy „Dziennika Polskiego" reklamują się bezpłatnie.

Jednym słowem prawdziwa „Parodia do kwadratu".

(l. p.)

OD „SŁODKIEJ DZIURKI" DO „WOLNEJ OJCZYZNY"

I utyskują, że u nas inwencja poetycka zamiera, że u nas poczucia humoru nie ma, że morale i t. p. A przejdźcie się czytelnicy troszeczkę po Łodzi. Spójrzcie na szyldy. Zdawałoby się, że gastronomowie to nic. A jednak... Miśmy z obojętnym mlaśnięciem języka knajpę „Kaczy kuper" i popatrzmy na małą ciastkarnię Piotrkowska 39, nazywa się to-to „Słodka dziurka". A z tej słodkiej dziurki wyziera twarz właściciela uśmiechnięta i zadowolona.

A dalej na Piłsudskiego 49 „restauracja". Popatrzmy na szyldzik. „Wolna ojczyzna". Walczyli inni o tę wolną ojczyznę po Pawiakach, ostępach leśnych i obczyznach a tu nic, postawił sobie facet szynkwas, baterię z monopolem i już „Wolna ojczyzna"! Sznycel r r r a z!!!

(st. j. l.).

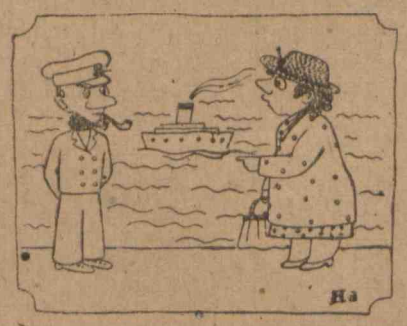

— Panie kapitanie, czy takie duże okręty często toną?

— O, nie! Tylko raz.

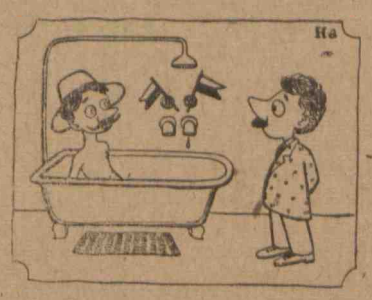

— Co pan wyrabia panie Lipiński?
— Chciałem prywatnie u siebie obchodzić Święto Morza.
— No i co?
— Znowuż psiakrew nie ma wody.

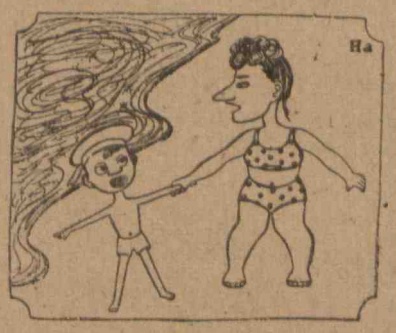

rys. Ha-ga

— Nie, Jacku! Nie wejdziesz do wody, dopóki nie nauczysz się pływać!

„Szpilki" ukazują się co tydzień. – Przedruk bez podania źródła wzbroniony.

Redakcja: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 1-23-36.
Redagują: St. Jerzy Lec, Zbigniew Mitzner, Leon Pasternak, Jerzy Zaruba.

Przyjmuje się codziennie od 11-ej do 1 szej.
Wydaje: Spółdzielnia wydawnicza: „Czytelnik"

Składano w Zakł. Graf. „Czytelnik" Nr 4. Łódź, Żwirki 2. D-01365 Drukowano w Zakładach Graficznych „Książka".

Szpilki

W OBRONIE SATYRY

Z kilku stron usłyszeliśmy ostatnio krytykę naszego pisma. Zarzuty dotyczyły zamieszczenia w kilku numerach rysunków Baranieckiego, Daszewskiego i Grusa, dotykających tak bolesnych spraw, jak Majdanek, Treblinka, fabryka mydła we Wrzeszczu i mordy dokonywane przez bandy N. S. Z. Zarzuty te pragniemy odeprzeć publicznie.

„Szpilki" nie były i nie są pismem poświęconym tylko zabawie i niefrasobliwemu humorowi. Jest to z tradycji swojej pismo S a t y r y c z n e. A prawem satyry jako gatunku literackiego i prawem karykatury jest dokać najbardziej drażliwych kwestii, jej obowiązkiem nawet jest nie pomijać ich, pod warunkiem ujmowania w odpowiadnią artystyczną formę. Aby te swoje prawa udokumentować, reprodukujemy na tej stronie kilka dzieł największych rysowników. Taki rysunek uprawiali w „Szpilkach" przedwojennych zmarli: Franciszek Parecki i M. Reif oraz jeszcze nieobecny w kraju Bronisław Linke.

Tę tradycję będziemy nadal kontynuowali.

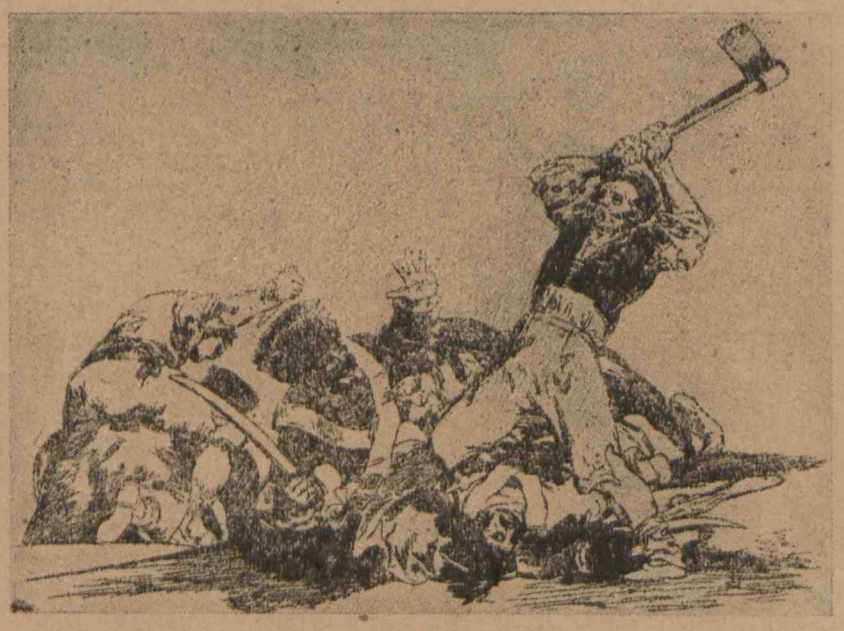

Goya — Dlaczego?

(Z cyklu „Okropności wojny")

Georg Grosz — Pij, bracie, pij!

Kukryniksy — Kancelaria Henryka Himmlera

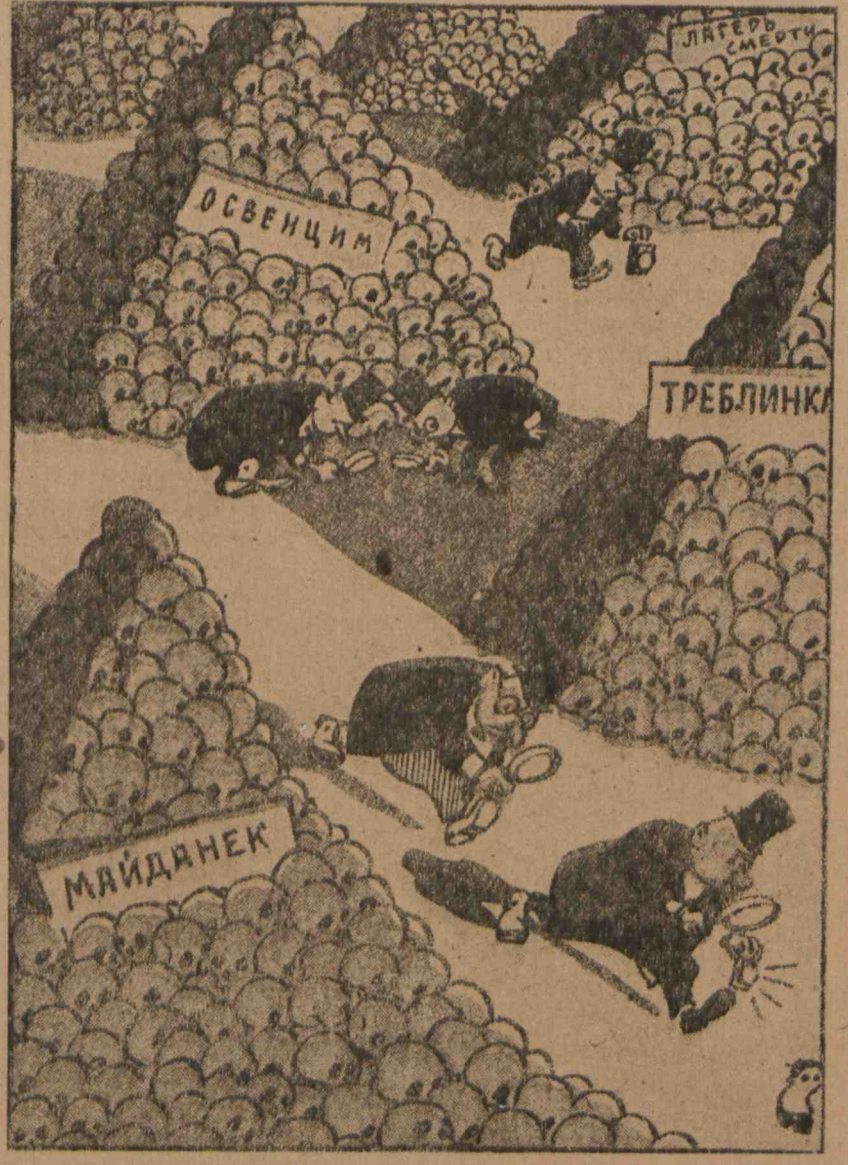

— Szukamy, szukamy dowodów winy Hitlera i nie możemy w żaden sposób ich znaleźć

(„Krokodyl")

Wojtkiewicz — Wisielcy

Gavarni — Między Sekwaną i głodem